

Królewsko-arystokratyczne postacie pozwoliły mi przeżyć powojenne dziesięciolecie w komforcie psychicznym.

Byłam pierwszą dziewczyną z okładki „P”

- mówi **NINA ANDRYCZ**

Stylowo urządzony salonik w alei Róż, na ścianach istna galeria portretów. Ta sama kobieta o regularnych rysach, wyniosłej postawie, w strojach z różnych epok: Kleopatra, Chimena, Maria Stuart, Maryna Mniszchówna, Elżbieta de Valois, hrabianka Izabella Łęcka. Nina Andrycz w tym roku obchodzi sceniczny jubileusz – 65 lat na scenie Teatru Polskiego. Mnóstwo głównych ról – wiele królowych.

Reżyserzy wcześniej dostrzegli w pani idealną odtwórczynię postaci władczyń. Czy nie było to w jakiś sposób nuzące, nie ograniczało pani?

– Skądże znowu, każdy dobry aktor miewa swoje emploi. Nie znaczy to, że w innej roli wypadnie źle, ale to już nie będzie to samo. Patrząc wstecz, widzę też, że te królewsko-arystokratyczne postacie miały dla mnie duże znaczenie nie tylko jako aktorskie dokonania.

Jak to rozumieć?

– Pozwoliły mi przeżyć w swoistym komforcie psychicznym pierwsze powojenne dziesięciolecie – szare, zgrzebne, pozbawione dostępu do zachodnich luksusów, czy bodaj do czytania współczesnej literatury bez wątków produkcyjnych. Wokół mnie toczyło się takie właśnie życie, ale co wieczór na scenie stawałam się królową, ze wszystkimi atrybutami wizualnymi tego stanu. A widzom mogłam na czas spektaklu ofiarować bodaj złudzenie innego świata. Ta świadomość była krzepiąca i dla mnie, i dla publiczności.

**PRZE
KROJ**



Fot. R. Burzyński

Aktorzy zrywkę mówią, że swoją życiową drogę wybrali wcześniej...

– Ja, ku zakłopotaniu mojej matki, oświadczyłam, że będę w przyszłości grać na prawdziwej scenie, kiedy podczas rewolucji rosyjskiej w Kijowie zaczęłam występować w dziecięcym teatrze, ba, nawet od razu dostawałam główne role – przeważnie królewien, gdyż byłam dość wysoka i miałam długie, jasne włosy. Wtedy odczułam po raz pierwszy magię sceny, urok przeistaczania się w kogoś innego, podziw dziecięcej publiczności, oklaski. Moja matka uważała, że taka przyszłość jedynaczki w ogóle nie wchodzi w rachubę. Pocieszała się, że to tylko dziecinne mrzonki.

I zawiodła się...

– Wykazała dużą tolerancję. Kiedy, już po maturze, wybierałam się na studia aktorskie do Warszawy, zobowiązała mnie, bym jednocześnie zapisała się na studia uniwersyteckie. Oczywiście, posłuchałam jej, bo lubiłam się uczyć.

Pani chyba nie musiała obawiać się wstępnego egzaminu?

– Przeciwnie, okropnie się bałam. W ubiorze, uczesaniu byłam prowincjuszka, wprost z małego miasteczka na Polesiu. Przyszłam na egzamin w zbyt długiej spódnicy i szarym, luźnym swetrze, spiętym pod szyją agrafką, gdyż w ostatniej chwili guzik oderwał się, a nie miałam igły. Do tego twarz bez śladu makijażu, nieregulowane brwi. A wokół tłum szykowanych, pięknie zrobionych, modnych warszawianek...

I co?

– Zdałam. Egzaminatorzy jednogłośnie stwierdzili, że mam warunki, tylko muszę pozbyć się kresowego zaśpiewu, co wcale nie było łatwe dla kogoś, kto wychował się na kresach, a do tego część dzieciństwa spędził w Kijowie.

Na pierwszy sukces teatralny nie czekała pani długo?

– Rzeczywiście, już na drugim roku zagrałam rolę Solange w sztuce Jarosława Iwaszkiewicza

„Lato w Nohant”, i to u boku wielkiej Marii Przybylko-Potockiej. Sztuka miała ogromne powodzenie, a ja – nadszpodziewanie dobre krytyki. Autorem jednej z rysowanych recenzji był młody redaktor „Wiadomości Literackich”, grafik Marian Eile, wasz późniejszy założyciel i redaktor naczelny.

Studiowała pani pod kierunkiem całej plejady ówczesnych mistrzów sceny.

– Miałam to szczęście. Juliusz Osterwa i Aleksander Zelwerowicz, Leon Schiller i Aleksander Węgierko. Widziałam też na scenie Jerzego Leszczyńskiego (nikt nie kreował tak wspaniale fredrowskich ról), a także Irenę Solską. To już nie była ta demoniczna, ruda diwa, uwielbiana przez fidesieclistów, dla której Żuławski napisał „Amora i Psyche”, a młody Witkacy myślał o odejściu w niebyt. Wciąż jednak pozostała wspaniałą aktorką.

Kiedys powiedziała pani, że nie wie, co to życiowa kłęska.

– W wymiarze profesjonalnym rzeczywiście nigdy jej nie zaznałam, ale w osobistym? Cóż, nie poślubiłam człowieka, którego kochałam pierwszą prawdziwą miłością – rozdzieliła nas wojna, później on zginął tragicznie. Dowiedziałam się o tym, gdy od jego śmierci upłynął jakiś czas. Pozostały mi jego listy i mój własny pamiętnik z tamtych lat. Wyniosłam je razem z pierwszymi recenzjami i bilecikami od sławnych aktorów podczas powstania z płonącego domu.

Przez dwadzieścia lat była pani nie tylko gwiazdą sceny, ale i pierwszą damą – żoną premiera. Jak wspomina pani te lata?

– Był to dość szczególny okres w moim życiu. Nie dzieliłam tej pozycji z prezydentową – nie było jej w tym czasie. Tak więc w kraju, jak i pod-

czas podróży zagranicznych byłam jedyną żoną w ekipie. Tamte czasy były specyficzne – na przykład żona polityka socjalistycznego kraju nie mogła zabierać z sobą pokojówki czy fryzjerki. A oficjalne okazje wymagały starannej fryzury, częstej zmiany strojów itd. Zdarzało się, że zdenerwowany małżonek albo ktoś z osób towarzyszących dopinał haftki mej sukni czy, przywołując na pamięć doświadczenia z pierwszych lat w teatrze, sama szybko zmieniałam uczesanie codzienne na wieczorowe lub robiłam ekspresowy makijaż. Chyba nie czyniłam tego źle, bo wszędzie, gdzie bywałam u boku męża – nawet na antypodach – na szczęście podobałam się.



W roli Chimeny w „Cydzie”

Fot. B. J. Dorys

Pierwsza dama powinna roztaczać wokół siebie nie tylko urok, ale i aurę pewnego dostojństwa. Sceniczna praktyka w rolach koronowanych musiała być tu pomocna.

– Z pewnością, każda aktorka musi umieć we właściwy sposób wejść na scenę, rozmawiać z partnerami. Ja to miałam we krwi. Nie bez znaczenia było też to, że w przeciwieństwie do wielu żon polityków z krajów wschodniego obozu wyrosłam w domu, gdzie dbało się o właściwe manieri. Poduczyłam się także w dzieciństwie obcych języków. Władam biegle francuskim, niemieckim, rosyjskim, to budziło w tamtych czasach podziw, szczególnie że właściwa przy takich okazjach uprzejma, wytworna konwersacja też nie sprawiała mi trudności. Stąd komplementowali mnie nawet mężowie stanu w krajach, gdzie na kobietę nie zwraca się zbyt wiele uwagi.

Co pozostało z tych lat?

– Wiele wspomnień, niektóre bibeloty i rzeczy towarzyszące mi do dziś, jak chociażby ten dywan u naszych stóp. Jest to rękodzieło chińskich tkaczy artystów, ofiarowane mi przez Mao Tse-tunga. Zabawne, ale właśnie na ten kobierzec wielu

odwiedzających moje mieszkanie zawsze zwracało uwagę. Poza tym wdzięczna jestem losowi, że mogłam w czasach, kiedy nieliczni wyjeżdżali za „żelazną kurtynę”, przez lat parę obserwować na własne oczy tamtejszą kulturę, teatry, życie codzienne. Wtedy też polubiłam styl Coco Chanel i w pewnym sensie pozostaję mu wierną do dziś. Ale nigdy pozycja pierwszej damy nie była czymś, co określałoby moje życie. Byłam przede wszystkim aktorką.

Po kobiecemu stwierdzam, że wygląda pani świetnie. Czyżby udało się pani zdobyć sekret wiecznej urody i siły?

– Do pewnego stopnia to chyba genetyczne. Moja matka dożyła sędziwego wieku, sprawiając wrażenie osoby znacznie młodszej. Ja zawsze dbałam o siebie. Uważam to za obowiązek w moim zawodzie. Staralam się prowadzić higieniczny tryb życia – nigdy nie przejadałam się, chociaż przepadam za słodyczami, nie nadużywałam potraw mięsnych i tłustych. Nie znosiłam papierosów – był to zresztą częsty powód sporów z moim mężem, jako że Józef Cyrankiewicz palił bez przerwy. Parokrotnie zdarzało mu się nawet podpalać prześcieradła. Zawsze lubiłam pływać, a długie spacery to i teraz moja ulubiona rozrywka.

Sprawia pani wrażenie osoby również młodej duchem...

– Ponieważ ciągle mam wiele planów, zamiarów na przyszłość. Właśnie wydałam moją siódmą książkę. Piszę zresztą od wczesnej młodości, chociaż zadebiutowałam dopiero w latach 80. tomikiem wierszy „To teatr” – rozszedł się w nakładzie 10 tysięcy egzemplarzy. Do ostatnio wydanego zbioru poezji „Rzeka bez nazwy” wstęp napisał ksiądz Jan Twardowski, z czego, przyznaję, jestem dumna. A teraz piszę książkę, która będzie miała wiele wątków autobiograficznych.

I przygotowuje się pani do jubileuszu?

– Trudno mi w to uwierzyć, ale jestem tą, którą prasa nazywa czcigodną jubilatką! Tym razem nie będę jednak grać królowej. Zagram w dwuczęściowej, współczesnej sztuce „Lustro”. Pierwszą część napisał znakomity reżyser filmowy, Andrzej Kondratiuk, drugą – ja. Jest to rzecz o aktorce, która uświadamia sobie, że nadszedł czas, aby zmienić swoje emploi, a to bardzo trudna rzecz dla każdej kobiety w moim zawodzie. Reżyserować będzie Tomasz Zygadło, premiera odbędzie się w październiku. Oczywiście, zapraszam „Przekrój”. W końcu byłam waszą pierwszą „dziewczyzną z okładki”. Była wiosna 1945 roku, Warszawa leżała w gruzach, a ja grałam główną rolę w polskiej komedii „Papuga”. Zamieściliście moje zdjęcie z tej sztuki na okładce, robiąc mi w ten sposób ogromną reklamę. Innej przecież nie było. I czy to nie zabawne, że wasz i mój jubileusz, choć różnie liczbą lat, przypadają w tym samym roku?

Rozmawiała BOGNA WERNICHOWSKA

